

Była agentką kontrwywiadu. "Propozycje seksualne padały nagminnie i wprost"

<https://weekend.gazeta.pl/weekend/7,177333,27244757,byla-agentka-kontrwywiadu-propozycje-seksualne-padały-nagminnie.html>



Angelika Swoboda - 24.06.2021 21:57

Żadnego zawoalowania, żadnych sugestii o wspólnym słuchaniu płyt czy szampanie przy świecach. Kawa na ławę: „Mam wolną chatę”, "Chciałbym cię przelecieć", "Pójdiesz ze mną do łóżka?", "Pokochamy się?", "Umówimy się na małe rypanko? Takie bez zobowiązań?" - opowiada Aneta Wybieralska, która pracowała w Służbie Bezpieczeństwa i Urzędzie Ochrony Państwa.



Dużo ma pani bliźni? Pytam, bo niedawno wydała pani książkę o pracy kobiety w polskich służbach specjalnych, która nosi tytuł "Tajne bliźni. O czym milczę od lat".

Sporo. Na przykład koszmarne sny.

O czym?

Wpadam w czarną dziurę i nie wiem, co robić. Albo bez końca idę schodami, których nie mogę pokonać. Czy lecę w przepaść. Albo że nie mogę sobie poradzić z jakimś zadaniem. Że mam wypadek.

Często też budzę się w środku nocy i nie mogę zasnąć. Muszę wstać, pochodzić, zmęczyć się fizycznie. To nic innego jak nerwica. Zdiagnozowano ją u mnie w związku ze służbą.

Służbom Bezpieczeństwa – najpierw PRL, potem III RP – przyświecała szowinistyczna, mizoginińska i wredna reguła. Była nieludzka, antykobieca.

Pisanie książek jest dla mnie formą terapii.

Dlaczego została pani agentką kontrwywiadu?

Byłam przesiąknięta resortem. Moja mama była milicjantką, milicjantami byli przyjaciele moich rodziców. Często jeździliśmy do resortowych ośrodków wczasowych w Bierutowicach, Przesiece czy Szklarskiej Porębie.

I mama, i jej znajomi zachęcali mnie, żebym spróbowała sił w służbach. W tamtych czasach pisało się podanie o przyjęcie do pracy i czekało na odpowiedź. Nie będę jednak ukrywać, że jak się miało już kogoś w resorcie, to było dużo łatwiej.

Każdego kandydata sprawdzano, tak jak i teraz, wszczep i wzdłuż. U mnie rodzina była już prześwietlona do trzech pokoleń wstecz, więc poszło szybko. Zresztą w PRL-u przyjmowano do pracy w służbach wielu krewnych pracujących już funkcjonariuszy. Tyle że jak ktoś narozrabiał, cała rodzina wylatywała z resortu.



Samochód milicji (Sławomir Kamiński / Agencja Gazeta)

Pochodzenie pochodzeniem, ale pewnie musiała pani przejść odpowiednie testy i badania?

Oczywiście. Zanim ostatecznie podpisałam cyrograf, miałam badania psychologiczne i psychiatryczne. Sprawdzano dokładnie, jakie mam znaki szczególne, musiałam się wytłumaczyć z pochodzenia każdej blizny na moim ciele. Tatuaze i piercing dyskwalifikowały kandydata. Traktowano je jako przejaw skłonności do masochizmu. Potem dostawało się skierowanie na resortowe szkolenia, między innymi z posługiwania się bronią palną, które były i nadal są takie same dla kobiet i dla mężczyzn.

Jak pani wspomina początki w resorcie?

W 1984 roku zatrudniono mnie w pionie techniki operacyjnej, czyli pomocniczym, w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu, który w 1990 rozdzielił się na policję i UOP.

Od początku łąpałam ironiczne spojrzenia szefów i kolegów, znaczące mniej więcej tyle co: i tak z ciebie, kobieto, nic nie będzie. Albo: baby się do niczego nie nadają. Padały sugestie, że "pewnie taka przyszła do resortu, żeby znaleźć męża". Każdego dnia słyszałam też, jak moi koledzy obgadują moje koleżanki. "Zobacz, jakie ona ma cycki" albo: "Nie ruszaj jej, bo to dupa Kowalskiego".

A molestowanie się zdarzało?

Tak, może nawet częściej niż gdzie indziej. Bo niewiele spraw wychodziło poza tę instytucję – przypomnę pani jej paramilitarny charakter.

Propozycje seksualne padały nagminnie i wprost. Żadnego zawoalowania, żadnych sugestii o wspólnym słuchaniu płyt czy szampanie przy świecach. Kawa na ławę: „Mam wolną chatę”, „Chciałbym cię przelecieć”, „Pójdiesz ze mną do łóżka?”, „Pokochamy się?”, „Umówimy się na małe rypanko? Takie bez zobowiązań?”.

Jak pani reagowała?

Od początku bardzo zdecydowanie i ostro. Nie było przyzwolenia. Cóż, zawsze byłam krnąbrna, poza tym wyszłam za męża i nie w głowie mi były przygody. Ale niektóre panie pozwalały się klepać po tyłku za jakieś wymierne korzyści, na przykład awanse na coraz wyższe stopnie oficerskie, medale, wyższe premie i nagrody. Opłacało się też cykliczne, bezpardonowe donoszenie na kolegów. Zero sentymentów.

Powtarzano nam: "To służba, do cholery, a nie praca w sklepie mięsnym. Jak chcesz iść do domu, to możesz się zwolnić". Albo: "Gówno mnie obchodzi, jak się czujesz... Dzieci? Ja też mam, ku*wa, dzieci. I siedzę tutaj na dupie... Musisz iść? To wypie*dalaj".





Aneta Wybieralska (archiwum prywatne) , Aneta Wybieralska (archiwum prywatne)

A konkretnie jak wyglądała pani praca w resorcie?

Nasz wydział operacyjny liczył około 50 osób, w tym około 10 kobiet. Wszyscy funkcyjni to byli mężczyźni. Ja jako jedyna kobieta miałam stanowisko operacyjne. Dopiero po kilku latach od transformacji ustrojowej zaczęto przyjmować więcej kobiet. Jednak cały czas młode, atrakcyjne i wykształcone. Pozostałe panie pilnowały sekretariatu, zajmowały się finansami, analityką itp.

Byłam zarzucana robotą. W tym sensie, że niby mnie doceniano. To była taka liczba zadań, z którą trudno było się uporać podczas standardowych ośmiu godzin służby. Gdy trzeba było, zostawałam po godzinach.

Moja praca do 1990 roku polegała na opracowywaniu materiału uzyskanego za pomocą środków techniki operacyjnej. Siedziałam za biurkiem. Nie tropiłam przestępców, choć materiał był do tego wykorzystywany. Ówczesna SB nie zajmowała się tylko "działaniem opozycji politycznej".

To były także działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze, a ja służyłam na zapleczu.

To znaczy?

Pomimo upływu czasu nadal mam opory, aby opowiadać, czym konkretnie się parałam.

Ale opowiem pani, jak kiedyś przełożony rzucił na moje biurko woreczek z kupką śmieci – małych papierków, z których półtorej godziny układałam, a potem sklejałam dokument. Jak puzzle. Na dobrą sprawę odtwarzanie zniszczonych dokumentów należało do kolegów z pionu techniki operacyjnej. Teoretycznie. Praktycznie mozolne zlecenie otrzymałam ja. Było na cito. Cóż, już dawno temu odkryto, że śmieci stanowią bardzo ważne źródło informacji.

Udawało się pani godzić pracę z życiem prywatnym?

Przez pięć lat w pionie technicznym resortu spraw wewnętrznych wykonywałam czynności pomocnicze zarówno dla Służby Bezpieczeństwa, jak i Milicji Obywatelskiej. Potem, do końca służby, pracowałam operacyjnie. Moje życie prywatne się nie liczyło. Priorytetem była służba. Wciąż, jak miecz Damoklesa, wisiała nade mną świadomość, że będę musiała zostać dłużej w pracy albo nagle do niej przyjść, bo ktoś nie może. Absolutnie żadnego dokumentu nie mogłam zabrać do domu, nie mogłam też w domu sporządzić żadnej służbowej notatki. To, co robiłam, było ściśle tajne. Szłam więc do cioci na imieniny i wciąż myślałam o zadaniu, które dostałam. Musiałam się spowiadać z każdego prywatnego wyjazdu. Pisać wcześniej raport, gdzie jadę, z kim, kiedy wrócę. Taka służba.



Aneta Wybieralska (archiwum prywatne) , Aneta Wybieralska (archiwum prywatne)

Słyszę w pani głosie rozgoryczenie.

Poniekąd. Wie pani, wywiady całego świata korzystają z potencjału kobiet. Niestety, niewielu moich przełożonych doceniało możliwości kobiet w pracy operacyjnej. Tymczasem my mamy inną wrażliwość, inną intuicję. Doskonale radzimy sobie na każdym froncie, uzupełniamy męski punkt widzenia naszym, kobiecym. Mądrzy szefowie chętnie zatrudniali kobiety, ale głównie do pracy analitycznej. Nie chcieli ryzykować, ulegając stereotypom. Jednak mój bezpośredni przełożony doceniał mój kobiecy punkt widzenia. I czasami na przykład prosił, żebym spojrzała na fragment odręcznego pisma, na przykład listu, i oceniła, kim był jego autor. I za tę postawę jestem mu bardzo wdzięczna. Tylko jemu jednemu niestety. Znakomita większość nie traktowała mnie poważnie. "Ot, to tylko baba" – słyszałam.

Sprzęt mieliście przyzwoity?

Oczywiście miałam broń, którą nosiłam w kaburze na szelkach pod lewą pierś, bo jestem praworęczna. Nigdy jej nie użyłam. Na szczęście nie musiałam. Nigdy nie zabierałam jej też do domu. Tylko na akcje, na przykład gdy istniało zagrożenie terrorystyczne. A potem chowałam broń do pancерnej szafy w pracy.

W latach 80. i na początku 90. ubiegłego wieku nie dane nam było używać komórek. Koledzy utajnieni i po cywilu nie mogli mieć przy tyłku radiostacji nasobnych, dużych i ciężkich, bo to groziło dekonspiracją. Drogiego imperialistycznego sprzętu operacyjnego – na przykład zegarków z antenką albo mikronadajnikoodbiorników wpinanych w odzież, przyklejanych na torsie – nie było pod dostatkiem, by obdzielić nimi wszystkich chętnych. Technologiczne cudenka mieli nieliczni.

Z samochodów dysponowaliśmy głównie fiatami 125 p, a potem oldskulowymi polonezami, otrzymanymi w spadku po dawnej Służbie Bezpieczeństwa. Nowe zachodnie bryki zaczęto nabywać dopiero w połowie lat 90. Wcześniej były rzadkością.



Wystawa 'Militaria XX wieku' (Jakub Orzechowski / Agencja Gazeta)

Służba Bezpieczeństwa została zlikwidowana w 1990 roku.

W tym samym roku po pozytywnej weryfikacji przesłam do Urzędu Ochrony Państwa. Tam już zatrudniono mnie na stanowisku operacyjnym, w pionie kontrwywiadu.

To było coś!

Niech pani nie przesadza! Żadną Jamesą Bondą nie byłam. Praca operacyjna jest dość żmudna i nudna: budowanie sieci kontaktów, pozyskiwanie informatorów, analiza zebranych informacji. Ostatecznie nic ciekawego, zapewniam panią. Nie postrzegam mojej pracy jako pasma sukcesów. Owszem, kogoś tam zwerbowałam, jakieś informacje zdobyłam. Największą radość czułam, gdy ktoś to docenił, podszedł, poklepał po ramieniu i powiedział: "Dobra robota".

Może dlatego, że także w UOP-ie musiałam się zawsze bardziej starać niż moi koledzy. Tam również panowało przekonanie, że kobiety nie nadają się do tej służby. No, mówiąc wprost, są gorsze. I że są dobre głównie w łagodzeniu obyczajów. "Założy mini, pokręci tyłeczkiem i tyle. Fajnie jest się na nią popatrzeć, dobrze, jak kawę zaparzy".

W pewnym momencie pojawiła się szansa awansu i wyjazdu do Warszawy.

Chciał mnie podkupić jeden taki warszawski ważniak. Dlaczego? Ponieważ bardzo spodobał mu się mój głos w słuchawce. I sposób załatwienia przeze mnie pewnej ważnej i oczywiście dość pilnej sprawy. Warszawski

naczelnik w stopniu podpułkownika zadzwonił więc do moich wrocławskich szefów, podziękował i zapytał o mnie. Poprosił o dossier służbowe oraz opinię na temat mojego wyglądu. "Głos ma zabójczy. Aż się spociłem i prawie mi stanął. Tak na mnie zadziałała" – oznajmił. "A chociaż ładna?" – dociekał. Gdy usłyszał, że "bardzo ładna", odparł: "Doskonale. Przydałaby nam się tutaj". O wszystkim dowiedziałam się grubo poniewczasie. I jeszcze zostałam zdrowo opierniczona za konszachty z warszawką. A te kontakty były akurat jak najbardziej służbowe. Na dodatek jedynie telefoniczne. Nawet mojego rozmówcy nie widziałam na oczy.

W czym pani była najlepsza?

W analizie zdarzeń, szukaniu drugiego dna i audycie. Siedziałam całymi godzinami w gniotących uszy słuchawkach i wyteżałam wszystkie zmysły, by z nagrań kiepskiej jakości utrwalanych na zużytych taśmach magnetofonowych wydobyć cokolwiek sensownego. I pisałam z tego notatki służbowe. To także były nagrania z różnych podsłuchów instalowanych na potrzeby wszystkich pionów operacyjnych WUSW we Wrocławiu, nierzadko innych podlegających MSW. Tym także zajmował się pion techniki operacyjnej. A potem? Zbierałam też cenne informacje. Im więcej ich o kimś zebrałam, tym lepiej. A przydać się mogło wszystko. Ulubione alkohole, dania, sklepy czy restauracje. Na przykład pani mi powiedziała przed wywiadem, że wybrałaby do życia Trójmiasto. To już jest dla mnie informacja. Gdybym panią werbowała do współpracy, to nie proponowałabym pani mieszkania w Katowicach, tylko na przykład w Gdańsku.



Aneta Wybieralska przed laty (Krzysztof Rak / AG) , Aneta Wybieralska
(archiwum prywatne)

Ma pani także fotograficzną pamięć.

Technik wizualnego zapamiętywania uczą w szkołach wywiadowczych. Jeżeli ktoś ma z tym problem, to znaczy, że się do tej roboty nie nadaje. Ja potrafię zapamiętać to, jak ktoś wygląda, w co jest ubrany, numer domu, pod który wchodzi.

Śmietnik we łbie pozostał mi do dziś. Nawyk zapamiętywania wszystkiego również. Nawet teraz, na emeryturze, gdy kogoś poznaję, zwracam uwagę na każdy najmniejszy drobiazg. Zupełnie, jakbym miała za chwilę sporządzić jego portret pamięciowy.

Nie potrafię jak zwykły człowiek obejrzeć filmu sensacyjnego. Od razu analizuję intrygę i dociekam, kto zabił. Zero przyjemności.

Znów powiało rozgorzeniem.

To drobiazgi, ale mówiąc szczerze, żałuję, że po studiach językowych nie zostałam za granicą. Odeszłam ze służby po 15 latach, ale byłam na tyle młoda i niewypalona zawodowo, że mogłam podjąć pracę w cywilu i podnosić kwalifikacje, co robię do tej pory. Obecnie pracuję w biurze podróży.

Wiem, że gdybym do służby w resorcie nie wstąpiła, miałabym zdecydowanie lepsze i spokojniejsze życie.

Aneta Wybieralska. Wrocławianka, absolwentka kierunków humanistycznych, prawniczych i ekonomicznych. Przez większość życia zawodowego – od 1984 do początku 2000 r. – była związana z resortem spraw wewnętrznych. Teraz dorabia do resortowej emerytury i hobbystycznie pisze książki.